

Bratnie dusze

I

Przez ostatni rok zajmowałem się gromadzeniem materiałów do książki na temat obecności templariuszy na ziemiach śląskich. Oczywiście po wyczerpaniu co bardziej wiarygodnych źródeł moje poszukiwania zaprowadziły mnie do przeróżnych wariatów, szarlatanów i samozwańców, podających się za spadkobierców zakonu, ale ostatni trop, wiodący do moich rodzinnych Tarnowskich Gór, był tak niedorzeczny, że postanowiłem opowiedzieć o nim przyjacielowi, który również jest historykiem. Odwiedziłem go późnym popołudniem w jego mieszkaniu w starej kamienicy naprzeciw biblioteki miejskiej, co samo w sobie było dosyć ironiczne, biorąc pod uwagę, że kiedyś była ona zamkiem, w którym mieściła się loża masońska.

Mój przyjaciel zaprowadził mnie do pokoju gościnnego, gdzie zastałem też Ramireza, jego starego owczarka niemieckiego. Rozsiadliśmy się w fotelach i przy koniaku wspominaliśmy czasy dawne i dawniejsze. Kiedy po jakimś czasie spytał mnie, czym obecnie się zajmuję, stwierdziłem, że nadeszła dobra chwila, żeby przejść do sedna sprawy.

- Wiesz, piszę akurat książkę o templariuszach na Śląsku: kiedy się tu pojawili, co się z nimi stało i tak dalej – napomknąłem. – Jak usłyszysz rewelacje, na które ostatnio natrafiłem, to chyba spadniesz z krzesła.

- Zamieniam się w słuch – odparł z uśmiechem.

- Otóż spotkałem się ostatnio z pewnym lekko nawiedzonym profesorem, który twierdzi, że istnieją „poważne przesłanki” oraz „znaczny materiał dowodowy” sugerujące, że gdzieś na Śląsku uchowała się gałąź zakonu, która przetrwała ekskomunikę i związaną z nią masakrę.

- Niezbyt to sensacyjne. Przecież sporo było takich pogrobowców, którzy przyjęli inną nazwę lub regułę, żeby się uratować. Chociażby Rycerze Chrystusa w Portugalii.

Uniosłem dłoń na znak, że to nie koniec, i kontynuowałem:

- No właśnie sęk w tym, że oni się nie zreformowali, w odróżnieniu od tych w Portugalii. Pozostali w ukryciu i dalej nazywali siebie ubogimi rycerzami i tak dalej. Teraz wyobraź sobie, że mieli oni w całkowitej tajemnicy przetrwać jakoś aż do siedemnastego wieku.

- Robi się ciekawiej – skinął głową. – Zatem co się z nimi stało?

Uśmiechnąłem się i rozłożyłem ramiona.

- Zapadli się pod ziemię. Słuch o nich zaginął, kiedy ruszyli, aby dołączyć do armii Sobieskiego, maszerującej na Wiedeń. Właśnie tu, w okolicach Tarnowskich Gór!

Na tę wieść mój przyjaciel jakby spochmurniał.

- Oczywiście – ciągnąłem – profesor nie chciał podzielić się ze mną ani krztą tego „materiału dowodowego”, bo, jak twierdzi, sam chce o tym wydać jakąś wielką publikację. Prawdę mówiąc, cała ta historia wydaje się być wyssana z palca.

Mój rozmówca wciąż milczał, a po chwili, splótnąwszy dłonie, spojrział na mnie spod oka.

- Nie byłbym tego taki pewien – oznajmił.

Takiej reakcji się nie spodziewałem.

- Co masz na myśli?

Pogłaskał psa po grzbiecie, po czym odpowiedział:

- Z dowodami bywa różnie. Często w badaniach, przy braku materiałów autentycznych, musimy opierać się na przeróżnych opowieściach, zapiskach i przedmiotach, które równie dobrze mogą być falsyfikatami bądź apokryfami.

Skinąłem głową.

- Więc może ten profesor faktycznie nie może ci pokazać konkretów, dopóki nie będzie pewien, co do ich prawdziwości.

- Może – przyznałem. – Jednak chyba zgodzisz się, że jego teorie nie brzmią zbyt prawdopodobnie?

- To prawda – uśmiechnął się szelmowsko. – Ale z drugiej strony, o czymś mi przypominają.

Przerwał na chwilę i nalał sobie więcej koniaku.

- Jak zapewne wiesz – kontynuował – mój dziadek, Henryk, był pogranicznikiem przed wojną, kiedy obok miasta przebiegała jeszcze granica polsko-niemiecka. Dożył dość sędziwego wieku i do końca zachował jasność umysłu, toteż chętnie dzielił się różnymi opowieściami ze swojego życia. Jednak o jednej z nich milczał przez długi, długi czas. Zapewne domyślisz się dlaczego, jak tylko jej wysłuchasz.

Z zaciekawieniem pogładziłem się po brodzie i gestem zachęciłem mego przyjaciela, żeby rozwinął myśl. Na to on rozparł się wygodniej w fotelu i opowiedział mi następującą historię.

II

Rzecz działa się pewnej deszczowej sierpniowej nocy, nadzwyczaj chłodnej jak na ten miesiąc. Miasto dawno już zasnęło, więc ślady ludzkiej aktywności tu i ówdzie stanowiły rzadkie wyjątki w panujących ciemnościach. Jednym z nich było nagle światło tłące się w oknach niewielkiego posterunku granicznego na drodze obok parku repeckiego, zaraz za kościołem świętego Mikołaja.

W środku siedzieli przy stole trzech mężczyzn, grających w karty i ćmiących papierosy, zaś przy piecyku pod ścianą wylegiwał się smukły wilczur. Gdyby nie wszechobecne bębnienie deszczu, w budynku panowałaby całkowita cisza, gdyż znudzeni pogranicznicy nie mieli już nawet o czym rozmawiać. Karty były ich jedynym pozostałym sposobem na zabicie czasu, ale po dwóch godzinach ciągłej gry trudno już było traktować je jako rozrywkę. Mężczyźni marzyli teraz tylko o tym, żeby w końcu nadszedł świt, a wraz z nim przyszli ich zmiennicy.

Wtem na zewnątrz rozległ się grzmot. Ludzie, zaskoczeni nagłym trzaskiem, wzdrzgnęli się na krzesłach, zaś ich pies zerwał się na równe nogi, po czym zbliżył się do okna i zaczął cicho skomleć.

- Co tam, Fryc – rzucił do niego jeden z mężczyzn. – Od kiedy to boisz się burzy?

Zwierzę stało wciąż pod ścianą i skomlało, machając ogonem i patrząc to na ludzi, to na okno, jakby chciało im o czymś powiedzieć.

- Heniu, weź się nim zajmij – odezwał się inny. – W końcu to twój pies.

Henryk westchnął i położył karty na stole, po czym podszedł do swojego pupila i podrapał go za uchem. Widząc, że pies nie przestaje przyglądać się czemuś za oknem, również wyrżał na zewnątrz. Niełatwo było cokolwiek dojrzeć przez ścianę deszczu, ale wydawało mu się, że w oddali zobaczył jakieś światło, zbliżające się od terytorium Niemiec w kierunku parku.

- Panowie – oznajmił – chyba ktoś próbuje nam się tutaj przekraść pod osłoną nocy.

- Pewny jesteś? – spytał jeden z pograniczników, strząsając papierosa. – Niezbyt mi się uśmiecha wychodzić na tę ulewę.

- Fryc fryca zawsze wywęszy – wtrącił się drugi. – A przemytnicy tylko czekają na taką okazję, żeby się nam nie chciało wychodzić. Janek, zadzwoń do centrali i powiedz, że idziemy sprawdzić jakichś podejrzanych typów.

Janek skrzywił się szyderczo i rzucił na stół karetę asów.

- Krzychu, Krzychu. Lepiej się przyznaj, że po prostu masz dosyć przegrywania i dlatego ci tak śpieszno do wyjścia.

Następnie potrząsnął głową, wstał i chwycił za telefon przy drzwiach, żeby złożyć stosowny meldunek. Tymczasem reszta zaczęła przygotowywać się do wymarszu – założyli psu smycz oraz wzięli latarki, karabiny i mapę na wypadek, gdyby trzeba było zaznaczyć na

niej jakąś kryjówkę używaną przez przemytników. Kiedy Janek odwiesił słuchawkę, odwrócił się do reszty i ogłosił z uśmiechem:

- W centrali powiedzieli, żeby choć jeden został na posterunku, tak dla pewności. Powiedziałem, że zajmę się tym, skoro wy tak palicie się do pogoni.

- Eh, ty hultaju, niech ci będzie – stwierdził Krzysztof, zakładając płaszcz.

- Ino tu nie zaśnij, bumelancie – rzucił jeszcze Henryk, po czym otworzył drzwi i obaj mężczyźni wyszli z budynku razem z Frycem.

Udali się przez pole ku granicy parku Donnersmarcków, tam, gdzie Henryk wcześniej zobaczył światło. Kilka minut marszu wystarczyło, żeby ubrania zaczęły im przemakać, dlatego starali się iść szybko, aby się rozgrzać i powstrzymać przechodzące ich dreszcze, jednak przeszkadzał im w tym grunt, przemieniony przez ulewę w ogromne bajoro, w którym grzęzły im buty. Co gorsza, wyglądało na to, że burza przybierała na sile, a z każdą chwilą coraz bliżej słysząc było gromy.

W pewnym sensie deszcz był jednak ich sprzymierzeńcem, o czym przekonali się po chwili. Gdy przemoknięci do suchej nitki dotarli do muru otaczającego park, zaczęli chodzić wzdłuż niego z latarką w poszukiwaniu tropów. Nie stracili na to dużo czasu, gdyż w zwałach błota wszystko było widać jak na dłoni, włącznie ze śladami kół i stóp, pozostawionymi zapewne przez wóz ciągnięty przez przemytników. Podążając za nimi, natrafili na szeroką, choć niską dziurę w ceglany murze, otwierającą drogę w głąb lasu. Zanim jednak ją przekroczyli, Krzysztof wyciągnął mapę, rozejrzał się, wypatrując światła posterunku granicznego, po czym naniósł na nią przybliżoną lokalizację wyłomu.

- Hrabia pewnie ucieszy się, że będzie mógł zatkać tę mysią dziurę – powiedział.

- Byś się nie zdziwił. Czort wie, czy on tych szkodników nie hoduje. Chodźmy już, bo jeszcze nam zwieją.

Wypowiedziawszy te słowa, puścił psa przodem przez wyrwę. Mężczyźni przeszli przez nią z większym trudem, gdyż musieli zdjąć z ramion karabiny, zgiąć się wpół i przedrzeć przez poustawiane po drugiej stronie kłody i wielkie liściaste gałęzie, mające zakamufłować przejście wykorzystywane przez przestępców. Idąc dalej, wyszli na jedną z wielu parkowych ścieżek wijących się wśród drzew, gdzie w ładniejsze dni hrabia i jego goście lubili chadzać na polowania. Świecąc latarką po ziemi, dostrzegli coś, czego znaleźć się nie spodziewali. Chociaż dotychczasowy trop szedł prosto na przełaj i prowadził znowu głęboko w las, po samej ścieżce biegnącej na boki ciągnęły się inne ślady, znacznie głębsze i liczniejsze, jakby przed chwilą przejechał tuzin wozów zaprzęgniętych w konie. Rozjeżdżone błoto przybrało w niej postać długich rynien, po których brudna woda spływała do wydeptanych przez końskie kopyta zagłębień, gromadząc się w kałuże, o które nieustannie bębnił padający deszcz. Fryc węszył wokół nich z niepokojem, warcząc i nerwowo merdając ogonem.

- Spójrz, ile tego jest – wydukał Krzysztof. – To chyba jakaś cała szajka przemytnicza. Może powinniśmy wrócić i zadzwonić po wsparcie?

Henryk potrząsnął głową.

- Nie. Lepiej przekonajmy się najpierw, co to za jedni i czego tu szukają. Powinniśmy pójść przynajmniej za tymi tam w lesie. Wygląda na to, że jest ich mniej, więc na pewno nam nie zagrażą.

- Prawda. Nie byłoby dobrze, gdyby ulotnili się z powrotem za granicę, zanim dotrą tu posiłki.

Już mieli kontynuować poszukiwania, kiedy Krzysztof przystanął na moment i odezwał się ponownie. Niedaleki dźwięk gromu sprawił, że w jego głos wkradł się niepokój.

- Swoją drogą ciekaw jestem, jak oni zmieścili wszystkie te wozy wśród drzew, zanim tu dotarli. Przecież one rosną zbyt blisko siebie.

Drugi z mężczyzn zastanowił się chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Mnie bardziej zastanawia, jakim cudem precyzyjnie konie przez tamtą dziurę w murze. Chyba że mają tu więcej przejść o różnych zastosowaniach.

Stojąc tak, próbowali w milczeniu znaleźć odpowiedzi na trapiące ich pytania, ale z wyrazów ich twarzy można było odczytać tylko konsternację.

- Wiesz co, na to trzeba chociażby rzucić okiem, tak dla pewności – stwierdził Henryk.
– Ja zostanę tu z Frycem, ty idź w stronę, z której nadciągnęła ta niby-karawana, i zobacz, czy jej ślad cię do czegoś nie doprowadzi.

Krzysztof cmoknął z dezaprobatą, ale nie zaprotestował.

- Dobrze. Jak coś, to będę wrzeszczeć – powiedział, uśmiechając się, choć w słabym świetle latarki przypominało to raczej grymas.

Kiedy jego towarzysz oddalał się, Henryk musiał mocniej trzymać smycz, ponieważ Fryc ewidentnie chciał pobiec za nim. Mężczyzna klęknął pod drzewem, na próżno starając się osłonić przed deszczem, i pogładził psa po głowie.

- Co z tobą, przyjacielu? Aż tak się przejąłeś tym pościgiem?

Wilczur postawił uszy i zakręcił się w miejscu, skomląc, jakby wyczuwał czyhające gdzieś zagrożenie. Henryk nauczył się ufać instynktowi Fryca, gdyż ten już nieraz doprowadził ich do różnych zbirów i ich kryjówek, ale tak zdenerwowanego nie widział go jeszcze nigdy. Dlatego z niepokojem wyczekiwał powrotu kolegi, a w pewnym momencie zaczął nawet żałować, że kazał mu pójść samotnie w mrok. Gęsto rosnące drzewa całkowicie pochłaniały światło księżyca, a burza, która rozpętała się teraz na dobre, zacinającym deszczem tłumiała promienie latarek, niewystarczająco jednak, żeby pogranicznik nie zobaczył blasku, szybko zbliżającego się do niego od strony lasu. Wstał, dobył ociekającego wodą karabinu i, zarepetowawszy go, zawołał.

- Kto idzie?!

W odpowiedzi usłyszał tylko wycie, takie, które wydaje z siebie obłąkany, gdy przyjdzie mu stanąć w obliczu swego największego lęku.

- Stój, bo strzelam! – krzyknął.

Wtem z lasu wybiegło czterech ludzi, pędzących przed siebie na złamanie karku i nie reagujących na groźby czy polecenia. Henryk próbował powstrzymać jednego z nich, niosącego latarnię, ale został staranowany, gdyż człowiek najwyraźniej myślał tylko o tym, aby jak najszybciej uciec od czegokolwiek, co go goniło. Jednak przy tak bliskim kontakcie można było przynajmniej przyjrzeć się mężczyźnie – a wtedy na jego twarzy dało się zobaczyć śmiertelne przerażenie, które upodobniło go do spłoszonej dzikiej bestii.

Człowiek był całkowicie osiwiąły, a po zmierzwionej szczecinie na brodzie ściekała mu ślina, której strużki spływały ciągle z rozdziawionych, wrzeszczących ust. Jego oczy, szeroko otwarte i przekrwione, obracały się chaotycznie, patrząc jakby na wszystko i na nic zarazem, nie zwracając uwagi nawet na uzbrojonego pogranicznika, który stał przecież dokładnie przed nim. Gdy wpadł na niego, szalenie stracił tylko na chwilę równowagę, potknął się, po czym pomknął dalej, biegnąc ile sił w nogach razem ze swoimi równie obłąkanymi i zawodzącymi towarzyszami. Po chwili zostało po nich tylko echo oraz ognik latarni, tłący się wśród drzew. Fryc z początku próbował za nimi pognać, ale szybko wrócił do swego pana, gdy ten nie wstawał z błota. Osłupiały Henryk przez chwilę śledził mężczyznę wzrokiem, a następnie odwrócił się w kierunku, z którego przybiegli, próbując wypatrzyć źródło ich strachu. Nie dostrzegł jednak nic, za to nieopodal usłyszał znajomy głos.

- Co tu się stało, do diabła? – spytał Krzysztof, zjawiając się niespodziewanie.

- To musieli być ci przemytnicy. Wygląda na to, że coś ich wykurzyło z lasu.

Henryk przetarł oczy z wody i spojrzał na kolegę ze zdziwieniem, gdyż dotarło do niego, że ten przyszedł ze strony innej, niż z której wyruszył. Uprzedzając jego pytanie, drugi z mężczyzn powiedział z widocznym przejęciem:

- Te ślady nie mają sensu. W kilku miejscach nagle się kończą, w innych kręcą się w kółko, a czasem nawet zaczynają się na nowo, jakby znikąd. Ktoś tutaj ewidentnie sobie z nami pogrywa.

- Pytanie tylko kto – Henryk zamyślił się na chwilę. – Tamci faceci wyglądali, jak gdyby gonił ich sam Lucyfer. Ich już nie doścignemy, ale możemy zobaczyć, co ich tak przeraziło.

Po chwili dodał jeszcze:

- Na wszelki wypadek odbezpiecz broń.

Szybkim krokiem udali się w głąb lasu. Pod butami chrzęściła im śliska warstwa mokrych liści, a nad głowami szumiał deszcz bębniący o drzewa, od czasu do czasu zagłuszany przez coraz głośniejsze gromy; mężczyźni znaleźli się w samym środku burzy. Przy takim akompaniamencie trafili w końcu na małą polanę, która musiała służyć przemytnikom za miejsce przerzutu łupów – świadczyły o tym porzucone łopaty, wykopana dziura w ziemi i mały wózek ze stertą różnych rupieci, stojący pod drzewem wyrosłym w samym jej centrum. Jednak w świetle latarki dostrzegli coś jeszcze, znacznie bardziej makabrycznego.

Nieopodal dziury leżały zwłoki mężczyzny ubranego po roboczemu. Niewiele więcej dało się o nim powiedzieć, bo ciało było straszliwie okaleczone – białe niemalże w ziemię, rozorane śladami kopyt oraz z rozcięciem na piersi, wokół którego rozrastała się czerwona plama. W wyciągniętej na bok ręce trzymał jeszcze jakieś zawiniątko.

Henryk zakrył usta i kucnął przy trupie.

- Najpierw przebili go na wylot bagnetem, a potem stratowali. Kto mógł zrobić coś takiego?

- Może konkurencja – wymamrotał Krzysztof, pochylając się nad wykopanym dołem.

– Tam w środku coś jest.

Klęknął i wyciągnął z dziury starą, okutą żelazem szkatułkę. Jej przerdzewiałe wieko trzymało się ledwo na jednym zawiasie, co tłumaczył porzucony obok łom, jednak w środku, oprócz zmurszałego aksamitu i kilku owadów, nie było nic.

- Heniu, sprawdź, co ten chłop tam trzyma. Może to zawartość tego kufierka.

Przy bliższych oględzinach zawiniątko okazało się być tubą, obitą popękana skórą i długą mniej więcej jak przedramię, ale dwa razy grubszą. Na jednym z jej końców nałożona była drewniana pokrywka ze złotą gałką, którą mężczyzna zdjął, uwalniając zgromadzone w środku stęchłe powietrze. Chociaż wiedział, że znalezisko mogło być wartościowe i należało przekazać je archeologom, nie mógł oprzeć się pokusie sprawdzenia, co też ono skrywało.

- Poczekaj, wezmę to pod drzewo, żeby zbyt nie zamokło.

Przystanął więc pod wiekowym dębem, od strony wózka, gdzie deszcz aż tak nie zacinał. Aby jeszcze lepiej się skryć, wszedł na pozostawioną przez przemytników furę i oparł się o poustawianą na niej stertę drewnianych skrzynek, stając tym samym pod osłoną korony drzewa. Przechylił tuleję i ostrożnie wy dobył jej zawartość na zewnątrz. Było to płótno, zwinięte w rulon i zaskakująco ciężkie, na którego brzegach widać jeszcze było resztki złoconych frędzli. Wzniósł zwój przed pniem, rozwinął go pieczołowicie i poprosił kolegę o światło.

Promień latarki padł na płótno, ukazując jego szczegóły, a przynajmniej to, co z nich zostało po długich latach spędzonych w ziemi. Był to może proporzec albo gobelin, chociaż dosyć skąpy w swoich ozdobach, które stanowiły jedynie wyblakłe złote nici. Reszta tkaniny podzielona była w poziomie na dwa proste pola, czarne u góry, białe u dołu, tu i ówdzie z dziurami powygryzаныmi przez robactwo i żab czasu. Na samym środku widniał wielki czerwony krzyż.

Widok ten oczarował obu mężczyzn, mimo że nie rozumieli do końca, co znaleźli. Stali w bezruchu, obaj z podniesionymi rękami niczym w milczącym salucie, jeden z latarką, drugi trzymając samo sukno, i wpatrywali się w nie jak zahipnotyzowani. Ich zadumę przerwał dopiero trzask gromu i błysk pioruna, uderzającego prosto w wyciągnięte ramię Henryka. Siła

wyładowania była na tyle potężna, że zrzuciła mężczyznę z wózka i wyrwała mu z ręki płótno, które, opadając na drewniany stos, natychmiast zajęło się płomieniem.

Drugi pogranicznik rzucił się na pomoc towarzyszowi i pomógł mu wstać. Na szczęście porażenie nie wyrządziło mu większej krzywdy – był tylko oszołomiony oraz zdrętwiało mu ramię. Jednak kiedy obaj spojrzeli znowu na drzewo i wózek, oniemieli na widok ognia rozprzestrzeniającego się w zawrotnym tempie na otaczającą, moką przecież od deszczu roślinność. Pożoga wkrótce zamknęła ich w gorejącym pierścieniu, w środku którego jak pochodnia płonął wielki dąb.

- Fryc, zabieramy się stąd! – zawołał Krzysztof, podpierając Henryka ramieniem.

Pies zrozumiał, czego od niego oczekiwano, i pomknął przodem przez palące się zarośla, znajdując w nich taką ścieżkę, przez którą wszystkim było bezpiecznie przejść. Tymczasem pożar pochłaniał kolejne połacie lasu, jakby szalejący wciąż deszcz nie miał na niego w ogóle wpływu. Ziemia, woda, ogień – żywioły wydały sobie bitwę tej nocy i żaden nie miał zamiaru ustąpić pola zanim całkowicie nie wyniszczy swych przeciwników. Zaś z serca owej batalii wymknąć próbowała się trójka istot, których jedynym pragnieniem było nie stać się ofiarami wojny, która ich nie dotyczyła.

Wilczur, jak przywódca stada, biegł kilka metrów przed mężczyznami, którzy ledwo potrafili dotrzymać mu kroku, gdyż Henryk wciąż zmagał się z oszołomieniem i potrzebował pomocy przy chodzeniu. W końcu zobaczyli, że pies przekroczył granicę lasu i wpadł na dobrze im znaną ścieżkę, na której wcześniej szukali śladów. Tam zwierzę stanęło nagle jak wryte, obróciło się w bok i zaczęło się w coś wpatrywać.

- Fryc, nie wydurniaj się i uciekaj! – krzyczeli mężczyźni, gdy również wyszli spośród drzew. Następnie spojrzeli na to, co mogło pochłonąć uwagę psa. I również stanęli jak wryci.

Z oddali, wśród mroków nocy rozświetlonych przez łunę pożaru, zbliżała się jasna poświata. Z każdą chwilą nabierała wyraźniejszych kształtów, takich jak sylwetki koni i ich jeźdźców, aż dostrzec można było drobniejsze szczegóły. Postawione na sztorc kopie, trzepoczące proporcami na wietrze. Powiewające płaszcze, skrywające bogato zdobione zbroje. Śnieżnobiałe pióropusze, zatknięte na głowach rumaków. Zaś razem z brnącym naprzód hufcem rycerzy po lesie niosło się echo ich pieśni.

- *Media vita in morte sumus...* – śpiewali, zbliżając się powoli do pograniczników.

Kiedy jadący na czele rycerz dotarł do mężczyzn i ich psa, cała kolumna zatrzymała się. Pod jego obszernym płaszczem widać było przytroczony do pasa miecz oraz napierśnik przykryty kaftanem z wyhaftowanym krzyżem. Tylko rysy jego twarzy, zwróconej teraz ku przerażonym pogranicznikom, trudno było dostrzec, ponieważ były jakby rozmyte pod podniesioną przyłbicą hełmu.

- Przyjaciele – odezwała się zjawa – którądy na Wiedeń? Wydaje się, jakbyśmy tu kluczyli już całą wieczność.

Mężczyźni jednak nie potrafili wydobyć z siebie ani słowa, Fryc zaś położył uszy, siadł na tylnych łapach i donośnie zawył. Rycerz obserwował ich w milczeniu, po czym potrząsnął głową.

- Zapewne jesteście mytnikami – burknął, a jego wierzchowiec zawtórował mu prychnięciem. – Nie wstyd wam żądać zapłaty od ubogich rycerzy Chrystusa, obrońców świątyni Salomona? Trakty macie chaotyczne jak w samym Hadesie, a i krążą po nich jacyś bezbożnicy, którzy próbowali ukraść nam sztandar. Zaprawdę, godne to, aby za taką dzicz pobierać myto?

Zakonnik grzmiał jeszcze przez chwilę, aż ze zrezygnowaniem sięgnął do sakiewki i rzucił na ziemię garść monet.

- Lecz prawo to prawo i cesarowi trzeba oddać, co cesarskie.

Kiedy to zrobił, znów zaczął przyglądać się pogranicznikom, teraz jakby z zaciekawieniem, gdyż ci nawet nie schylili się po pieniądze. Wyprostował się w siodle,

nonszalancko oparł dłoń na głowni miecza i przemówił po raz kolejny, najwyraźniej nie zwracając uwagi na pożar, który dotarł już do granicy lasu.

- Ale wykaz okolicznych traktów to chyba przynajmniej macie, wy kmiecie?

Na to pytanie Henryk skinął w końcu głową i wyciągnął rękę do swojego kolegi, żeby podał mu mapę. Tamten wyjął ją z torby i wsadził w otwartą dłoń pierwszego, który z kolei przekazał ją zjawie. Rycerz rozłożył przemoczony papier, pojeździł po nim przez chwilę palcem, po czym z zamyśleniem położył dłoń na brodzie. Następnie mruknął z satysfakcją, skinął głową i oddał mapę mężczyznom.

- Bóg zapłać, dobrzy ludzie. Teraz nareszcie widzę, gdzieśmy zblądzili.

Wypowiedziawszy te słowa, pożegnał pograniczników znakiem krzyża, po czym chwycił za wodze i zawołał do swoich druhów.

- Bracia, czas na nas! Już wkrótce będziemy pod stolicą cesarstwa!

Następnie spiął konia i zaintonował:

- *Crucem sanctam subiit...*

Na co cała kompania odpowiedziała mu:

- *Qui infernum confregit!*

I hufiec rycerski ruszył przed siebie, prosto w ścianę ognia, który zdążył już ogarnąć dalszą część drogi. Kawalerowie i ich wierzchowce, giermkowie, draby i ciury obozowe, konie zaprzęgnięte w wozy, ciągnące działa, amunicję i beczki z żywnością. Wszyscy, po kolei, z pieśnią na ustach maszerujący w objęcia płomieni.

III

Mój przyjaciel zakończył swoją opowieść, splótł dłonie i przyjrzał mi się z zaciekawieniem, studiując moją reakcję.

- Szczerze powiedziawszy, brzmi to raczej nieprawdopodobnie – stwierdziłem.

Na co ten skinął głową i uśmiechnął się dobrotliwie.

- Owszem, zgadzam się całkowicie. Co więcej, sprawdzając gazety z tamtego czasu, nie znalazłem żadnej wzmianki o pożarze w parku repeckim.

- Więc można przypuścić – wtrąciłem się – że twój dziadek po prostu miał halucynacje po tym, jak trafił go piorun.

- Faktycznie – odrzekł, wciąż się uśmiechając.

- Jednak nie opowiedziałbyś mi tej historii, gdybyś w nią nie wierzył.

- I tu też masz rację. A przynajmniej poniekąd, bo z natury jestem sceptykiem i trudno mi uwierzyć w coś, czego sam nie doświadczyłem.

Spojrzałem na niego spod oka.

- Zatem?

Zanim odpowiedział, odchrząknął i przywołał do siebie psa, wylegującego się na kocu pod ścianą.

- Wspominałem wcześniej o problemach, jakich mogą nam przysporzyć rzekome dowody. Nie wszystkie materiały, które wpadną nam w ręce, muszą być autentyczne, a co do niektórych nie mamy pewności nawet po skomplikowanych i czasochłonnych badaniach.

Skinąłem głową, choć nie potrafiłem zrozumieć, do czego prowadził ten wywód.

- Gdybyś nie wiedział – kontynuował, drapiąc wilczura za uchem – poczciwy Ramirez jest spokrewniony w prostej linii z Frycem. Mój dziadek zawsze czuł do niego dużą sympatię, jakby był tym samym psem, który towarzyszył mu wtedy w Reptach.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego – powiedział i kazał psu do mnie podejść. – Spójrz na jego obrożę, dziadek zrobił ją jakieś dziesięć lat temu specjalnie dla niego. Gdy niedawno przyjrzałem się jej trochę dokładniej, wywarła na mnie dosyć, że tak powiem, piorunujące wrażenie.

Nachyliłem się do Ramireza i sprawdziłem skórzany pasek na jego szyi. Moją uwagę przykuł zwisający z niego medalik – składał się ze złotej, przeszklonej oprawki, w środku której siedziała stara, srebrna moneta. Była trochę szara i wytarta, ale nie na tyle, żeby nie dało się rozpoznać wybitych na niej szczegółów, włącznie z prostym krzyżem i inskrypcjami po łacinie. Podobne monety widywałem już wcześniej, ale w znacznie gorszym stanie. Głównie w muzeach poświęconych krucjatom.

- Daje do myślenia, nieprawdaż? – spytał mój przyjaciel, widząc moją zaskoczoną minę. – Dziadek nigdy nie chciał powiedzieć, skąd to wziął. Dopiero później, po wysłuchaniu historii, którą przekazałem teraz tobie, zrozumiałem dlaczego. Chociaż wciąż trudno mi w to uwierzyć.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Z jednej strony, Henryk mógł po prostu być numizmatykiem albo kupić tę monetę na straganie z bibelotami. Ale z drugiej strony, gdyby wytłumaczenie tej sprawy było tak banalnie proste, mój przyjaciel nie zawracałby mi nią głowy.

Zmieszany, pozwoliłem wilczurowi wrócić na swoje legowisko, po czym oznajmiłem, że na mnie już czas. Pożegnałem się z przyjacielem, podziękowałem za ciekawą opowieść i opuściłem dawną lożę masońską. Gdy wracałem do domu, stwierdziłem, że może powinienem odłożyć na jakiś czas pisanie i popytać o więcej szczegółów wśród tych, których rano jeszcze miałem za pospolitych wariatów i szarlatanów. Wszak skupiając się na tym, co widoczne i oczywiste, można łatwo przeoczyć to, że prawda potrafi być skryta głęboko w odmętach historii i zakopana pięć metrów pod ziemią. Czasem zaś znaleźć ją można w skarbnicy, jaką są czeluści ludzkiej pamięci, nieprzeniknione i niedostępne nawet dla jej właściciela, zapomniane, dopóki ich spokoju nie zmać ciekawski intruz.